

Czy w świecie pełnym mroku
znajdzie się miejsce na miłość?

LOTOS



JENNIFER
HARTMANN



JENNIFER
HARTMANN

LOTOS

PRZEŁOŻYŁA

Agnieszka Patrycja Wyszogrodzka-Gaik



TYTUŁ ORYGINAŁU:

Lotus

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczyni: Joanna Pawłowska, Maria Mazurowska

Redakcja: Marta Stochmiątek

Korekta: Małgorzata Denys

Projekt okładki: Cat at TRC Designs

Zdjęcie na okładce: © kokotewan, © Marc Andreu / Stock.Adobe.com

Opracowanie graficzne okładki: Wojciech Bryda

Grafika na stronach rozdziałowych: © kssss / Stock.Adobe.com

DTP: Maciej Grycz

Lotus

Copyright © 2021 by Jennifer Hartmann

All rights reserved.

Copyright © 2025 for the Polish edition by Papierowe Serca an imprint
of Wydawnictwo Kobiectwo Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Agnieszka Patrycja Wyszogrodzka-Gaik, 2025

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2025

ISBN 978-83-8371-419-6

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl





Prolog

– SPADAJ Z DROGI, DZIWAKU!

Odskakuję. Samochody mijają mnie pędem, głośnie i natrętne, rażąc oczy kolorami i światłami. Panika ściska mi gardło, gdy potykając się, idę wzdłuż drogi.

To sen.

Za kierownicami samochodów siedzą ludzie, niektórzy wychylają się przez okna i kierują w moją stronę swoje urządzenia. Odychają powietrzem. Gapią się, śmieją i wykrzykują urywane słowa w zapadający wieczór.

To nie może oznaczać nic dobrego.

Zaczynam biec, czując w żyłach zastrzyk oszołomienia. Bicie mojego serca niemal eksploduje w moich uszach, a nogi pode mną słabną z każdym spiesznyim krokiem. Tyle tu hałasu, chaosu. Rozpinam kombinezon ochronny w biegu, bo się w nim duszę; ściągam go i wyciągam rękę ku masce.

Waham się.

Odgłos klaksonu przeraża mnie i niemal się potykam o plastik, który zsunął mi się do kostek, odsłaniając pokrwawioną klatkę piersiową i spodnie. Skóra przeżywa szok w kontakcie z zimnem.

Zanim zdążam to przemyśleć, zdzieram z twarzy maskę – swoją ostatnią ochronę.

Łykam lodowate powietrze wielkimi haustami, wciągam je głębokoko i pozwalam, by wypełniło mi płuca po raz pierwszy od dekad. Boże, jakie to cudowne. Niezrównane. Chłonę je jak wodę, jak pożywienie i upajam się wczesnozimowym aromatem, który dawno już zapomniałem.

Wtem czuję głębszą nutę – coś cierpkiego. Jakieś opary. Serce drży mi z przerażenia.

O, Boże... spaliny.

Bradford miał rację.

Popełniłem fatalny błąd.

Chwytam się za szyję i czekam na śmierć. Czuję ucisk w klatce piersiowej, w płucach mi świszczy. Padam ciężko na żwir, gdy kolana się pode mną uginają. Samochody dalej mnie mijają, rozbryzgując rozjeżdżony śnieg i ziemię. Jak przez mgłę widzę, że jedno auto się zatrzymuje i po chwili mam przed twarzą czyjeś stopy. Zbliżają się, a mnie przyspiesza oddech.

– Proszę pana, dobrze się pan czuje? – Męski głos, podobny do głosu Bradforda. – Chyba ma pan atak paniki. Wezwę pogotowie...

Głos cichnie, gdy mdleję i z trudem łapię powietrze. Toksyczne spaliny pożerają mnie, gaszą we mnie życie. Podciągam kolana, by znaleźć się w pozycji embrionalnej, i urywanym szeptem mówię, gdy wszystko wokół ciemnieje:

– Lotos...

Czarny Lotos został pokonany.



ROZDZIAŁ 1

Sydney

Nie chciałam razić golizną swojej sąsiadki.

Wybiegłam tylko po pocztę i sądziłam, że szlafrok osłania mnie w akceptowalnym stopniu. Sąsiedzi przywykli do oglądania mnie w usmarowanych farbą spodniach od piżamy, czapkach beanie, skarpetkach nie do pary i workowatych koszulkach z nadrukami z lat dziewięćdziesiątych. A zwykle w tym wszystkim naraz.

Uznałam więc, że szlafrok to krok na wyższy poziom. Dobrze się z tym czułam.

A potem pośliznęłam się na lodzie i wylądowałam na plecach, z rozłożonymi na boki rękami, na podjeździe naprzeciwko domu Lorny Gibson. Dobrze, że chociaż miałam na sobie majtki, ale szlafrok się rozwiązał i wyskoczył mi biust, przez co staruszka musiała ścisnąć mocniej różaniec i zrobić znak krzyża z tuzin razy.

Upycham dziewczynki na ich miejsce, podnoszę się i jęczę z powodu bólu kości ogonowej. Macham do Lorny, która upuściła swoją

korespondencję i wznosi wzrok ku niebiosom, pewnie modląc się, by sam Bóg raził mnie piorunem.

– Nic mi nie jest! – wołam z wymuszoną wesołością.

Ignoruje mnie, wciąż odmawiając zdrowaśki.

– Majtki w lamparcie cętki są na wyprzedzący w Victoria's Secret, jeśli jesteś zainteresowana. Superoddychające!

Lorna wciąga głośno powietrze, kładzie dłoń nad sercem i kręci głową w drugim końcu podwórka. Wygląda, jakby chciała mnie osobiście egzorcyzmować.

– Błuzniercze dziecko – mamrocze, po czym zbiera listy i przedko chowa się w domu.

Sydney Oville. Świętokradcza ładacznica z Briarwood Lane.

Chichoczę pod nosem, niczym niezrażona. Lorna nienawidzi mnie od kilku lat, odkąd odrzuciłam uprzejmie jej propozycję, bym dołączyła do klubu biblijnego. Przypuszczam, że to taki dyskusyjny klub książkowy, tyle że zajmujący się tylko jedną pozycją – Biblią.

Zważywszy na to, że lubię czytać mroczne romanse z mnóstwem obrazowych opisów seksu i niewybrednego języka, na pewno bym się tam nudziła i zastanawiała, kiedy Adam i Ewa wreszcie zaszaleją.

– Nic się nie stało, Sydney?

Masuję plecy, zawiązuję ciasniej szlafrok i odwracam się w stronę domu po drugiej stronie mojego. Gabe wysuwa głowę zza siatkowych drzwi, z niepokojem ściągając brwi.

Uśmiecham się szeroko i wzruszam ramionami.

– Tylko wkurzam starsze panie, zanim napiję się porannej kawy. Jak zwykle.

– Zadymiara. – Puszczą do mnie oko i opiera się łokciem o framugę. – Ucierpiałaś jakoś?

– Ucierpiała tylko moja duma i nieskazitelna reputacja.

– W takim razie nic ci nie jest.

– Czuję się fantastycznie. – Wyszczierzam zęby w uśmiechu. –
Urządzamy wieczorem maraton z *U nas w Filadelfii*?

Wyciąga palec w moją stronę.

– Jak zrobisz dip do tacosów, mamy randkę.

Salutuję na potwierdzenie i patrzę za nim, jak znika w domu.

Gabe Wellington to mój najlepszy przyjaciel. Jesteśmy jak rodzeństwo, bo dorastaliśmy razem przez ostatnie dwadzieścia sześć lat. Przeprowadziłam się do tego domu z rodzicami, gdy miałam zaledwie trzy lata, a odkupiłam go od rodziców w ubiegłym roku, kiedy tata przeszedł na emeryturę i chciał zrealizować swoje marzenie i zamieszkać na polu golfowym. Gabe dorastał w sąsiednim domu z ojcem i macochą.

Oraz Oliverem.

Lecz o nim już nie rozmawiamy.

Macocha Gabe'a zmarła ponad dekadę temu, a jego ojciec, Travis Wellington, ponownie się ożenił i przekazał dom synowi.

Nadal jesteśmy sąsiadami, przyjaciółmi i wciąż podejmujemy wspólnie fatalne decyzje.

Wchodzę do domu i przeglądam wyciągi z karty kredytowej i rachunki. Poprawiam okulary w ciemnych oprawkach na nosie i wspominam czasy, kiedy nie mogłam się doczekać korespondencji – wtedy przychodziły do mnie prenumerata „Teen Beat” i wypchane pieniędzmi kartki od babci.

Moja pręgowana kotka Alexis ociera mi się o kostki. Poprawiam luźny kok i schylam się, by wziąć ją na ręce. Wchodzę do biura z rudym kotem pod pachą, gotowa przejrzeć e-maile i zabrać się do pracy. Przede wszystkim jestem graficzką, która skupia się na tworzeniu stron internetowych dla klientów. A przynajmniej dzięki temu opłacam rachunki.

Poza tym maluję.

Malarstwo to moja prawdziwa pasja i cieszę się, że zapewnia mi dodatkowy dochód, dzięki któremu oddaję się nałogowemu picciu

kawy i kolekcjonowaniu niegrzecznych książek. Kilka moich prac wystawiono w galeriach i na aukcjach. Biorę udział w targach rękodzieła i wyprzedażach, a także realizuję indywidualne zamówienia za pośrednictwem Etsy.

Pod wieloma względami wiodę wymarzone życie. Jestem niezależna i pracuję z domu, robiąc to, co kocham. W niektóre weekendy nawet stoję za barem, żeby udawać, że mam życie towarzyskie poza Facebookiem i kontaktami z kotem.

Nie będę jednak kłamać i twierdzić, że jest idealnie – samotność często się do mnie zakrada. Rodzice mieszkają godzinę drogi stąd, a moja siostra, Clementine, ma własne życie z córeczką i przechodzi trudny rozwód. Podłączywszy laptop i zajmąwszy miejsce z kubkiem kawy, zabieram się do pracy; przeglądam e-maile i koresponduję z jedną z moich ulubionych autorek romansów, dla której mam zaszczyt projektować stronę. Gdy sięgam po komórkę, żeby włączyć playlistę Lord Huron, niechcący trącam łokciem Alexis, a ta zrywa się z biurka i przypadkiem wylewa kawę.

– Cholera! – knę, bo dociera do mnie, że moja arabska mokka zalała obrazy, które niebacznie oparłam o biurko. – Nie, nie, nie... – Działam szybko. Chwytam jakąś koszulkę i podbiegam do miejsca zbrodni. Dech mi zapiera, gdy zauważam, który obraz ucierpiał w tym zamieszaniu.

Portret Olivera Lyncha.

Mojego najlepszego przyjaciela z dzieciństwa.

Przyrodniego brata Gabe'a.

Chłopca, który zaginął czwartego lipca przed niemal dwudziestoma dwoma laty i nikt go nigdy więcej nie widział.

Zaczynam gorączkowo osuszać portret ze łzami w oczach.

Nie ten. Proszę, nie ten.

Pracuję nad nim od ośmiu miesięcy. Oparłam się na komputerowo postarzanym zdjęciu Olivera, które udostępniono w mediach. Przedstawia, jak mógłby wyglądać dzisiaj, gdyby nadal żył.

Koszulka chłonie ciemną kawę; przyglądam się, jak płyn wsiąka w bawełnę, po czym odkładam ją i wodzę palcem po konturze jego szczęki. Minęły ponad dwie dekady, ale rana wydaje się nadal świeża. Serce wciąż mnie boli, gdy myślę o chłopcu z jasnobrązowymi włosami i oczami jak burgundowy zachód słońca. Nadal słyszę jego śmiech i wyobrażam sobie umazany ziemią kombinezon.

Przysięgam, że czasami czuję go lub słyszę, jak szepcze moje imię...

Syd.

Dawny pokój Olivera znajduje się naprzeciwko mojego biura, które było pokojem zabaw, kiedy moja siostra i ja byliśmy dziećmi. Pamiętam jak dziś, jak wykrzykiwaliśmy do siebie dowcipy przez okno, bawiliśmy się w „telefon” z pomocą sznurka i dwóch puszek i opowiadaliśmy sobie historie o duchach, podświetlając latarkami brody od dołu. Tamtego ostatniego dnia, 4 lipca 1998 roku, snuliśmy plany, że wybierzemy się razem na *Nie wiercie bliźniaczkom*, gdy wejdzie do kin. Nasze matki były najlepszymi przyjaciółkami i uwielbiały chodzić z nami do kina – chichotaliśmy, zajądając się popcornem i żelkami, podczas gdy moja mama i jego, Charlene, przemycały na salę wino i śmiały się jeszcze głośniejsze niż my.

Nigdy nie obejrzałam *Nie wiercie bliźniaczkom*.

Po dziś dzień. Uznałam, że nie powinnam oglądać tego filmu bez niego.

Zerkam po raz ostatni w okno Olivera – jego pokój wypełniają teraz ciemność, pudła i starocie – kończę osuszać portret i przestawiam go w bezpieczniejsze miejsce w kącie pokoju. Tłumię emocje i staram się na nowo skupić.

Zanim mi się to udaje, słyszę telefon. Melodia otwierająca *Z archiwum X*, a to znaczy, że dzwoni siostra. Przełączam ją na pocztę głosową, zirytowana tym, że nie zrobiłam najmniejszych postępów w pracy, a dochodzi już dziesiąta.

Pisze do mnie esemesa.

Clem: Odbierz, lafiryndo.

Jęczę

Ja: Pracuję, zdziro.

Clem: Musisz zająć się Poppy w ten weekend. Ładnie proszę. Żadnych wisienek na torcie, bo je zjadłam.

Wzdycham z uśmiechem i odpisuję jej.

Ja: W ten weekend pracuję w barze, ale mogę zabrać ją ze sobą. Dzięki temu będzie miała wspaniałe wspomnienia i dowie się, jakich decyzji nie podejmować, kiedy dorośnie. Ponadto Brant na pewno nauczy ją nowego barwnego słownictwa iiii... mamy konkurs mokrych podkoszulków. #witajwięziciotkizsiostrzenicą

Clem: Poproszę Reginę.

Clem dołącza do wiadomości stado wściekłych emotek, na co ze śmiechem wyciszam telefon i pędzę na dół po drugi kubek kawy.



Ten dupek wystawił mnie do wiatru.

Umówiliśmy się z Gabe'em na siódmą na maraton z *U nas w Fildelfii*, a już dochodzi ósma. Dipu do tacosów ubywa z każdym zjadany przez mnie chipsem, Alexis umościła mi się na kolanach. Zdejmuję okulary i sięgam po telefon, gotowa bombardować komórkę Gabe'a memami z Davidem Hasselhoffem. Pewnie znalazł sobie jakąś miłą laskę na ten wieczór, przeciwko czemu nic nie mam, no ale mógłby dać mi znać, że zmienił plany.

Widzę nieodebraną wiadomość od Clementine.

Clem: Włącz wiadomości, siostra.

Ściągam brwi. Wie, że nie mam nawet podstawowej kablówki – tylko Netflix i Hulu, jak większość współczesnych milenialsów. Już

mam otworzyć Facebooka, moje preferowane źródło wiadomości, ale zauważam niebieskie światła odbijające się w moim telewizorze. Klękam na kanapie i wyglądam przez okno. W ustach robi mi się sucho.

Dom Gabe'a otaczają radiowozy.

Co jest, do diabła?

W pierwszej chwili zastanawiam się, czy urządził jedną ze swoich imprezek, ale nie widzę przed domem innych samochodów, nie słyszałam też muzyki ani żadnych hałasów.

Cholera. Coś się stało.

Fala mdłości zalewa mnie z siłą wodospadu, zapierając mi dech w piersiach. Bez chwili wahania wciągam kozaki i wybiegam przed dom ubrana w spodnie dresowe i koszulkę z Pełzakami. Rześkie powietrze jest miłym kontrastem dla gorąca, które piecze moją skórę.

Odwracam głowę w prawo i widzę Lornę Gibson na jej werandzie. Przygląda się scenie. Jedną dłoń zaciska na krzyżku na szyi, a drugą zasłania usta, a jej oczu nie wypełniają wzgarda i krytycyzm, tylko łzy.

Z walącym sercem i na uginających się nogach zbieram się na odwagę i maszeruję niezdarnie po cienkiej warstewce śniegu pokrywającej mój trawnik. Policyjne koguty rozmywają mi się przed oczami. Gdy docieram do progu, nie pukam. Otwieram siatkowe drzwi i pakuję się do środka, niemal wpadając na jednego z funkcjonariuszy. Trzy nieznajome twarze przyglądają mi się ze ściągniętymi brwiami i zaciśniętymi ustami.

– Jest pani przyjaciółką rodziny? – pyta jedna z osób.

– Gdzie jest Gabe? Coś mu się stało? – odzywam się drżącym głosem.

I wtedy go widzę.

Policjant się odsuwa i odsłania mojego przyjaciela. Gabe siedzi na skraju kanapy z kolanami podciągniętymi pod brodę i dłońmi złożonymi przed twarzą czubkami palców. Oczy ma zaczerwienione,

przekrwione, pełne łez. Spogląda na mnie z taką udręką, jakiej nigdy u niego nie widziałam.

Chaotycznie bijące serce się kurczy, konsternacja i przerażenie toczą we mnie bój.

– Gabe... Co tu się dzieje, do licha?

Gabe wstaje, przeciera twarz dłońmi i rusza powoli w moją stronę. Jego ciemnoblond włosy przykleiły mu się do spoconego czoła.

– Sydney.

Patrzę na niego i czekam z wytrzeszczonymi oczami i drżącymi ustami.

– Sydney... – powtarza, a potem wzdycha głęboko. – Chodzi o Olivera. Znaleźli Olivera.

Powietrze głośno ucieka z moich płuc i chwiję się na nogach, zastanawiając się, czy się nie przesłyszałam. Obraz przed oczami rozmywa mi się jeszcze bardziej z powodu świeżych łez.

– Ż-że co?

Wymyka mi się zduszony okrzyk. Słowa docierają do mnie pojedynczo.

Znaleźli Olivera.

Znaleźli. Olivera.

Udaje mi się wydusić z siebie jeszcze jedno pytanie.

– Gdzie jest jego ciało?

Jego ciało. Kości.

Brudny kombinezon z plamami z lodów na patyku.

Gabe stawia jeszcze kilka kroków w moją stronę; jego gardło faluje, gdy przełyka ciężko ślinę. Wyciąga ręce, by ścisnąć mnie za ramiona, i jestem mu za to wdzięczna, ogromnie wdzięczna, bo na dźwięk jego kolejnych słów tracę grunt pod nogami.





– On żyje.

Mdleję.

SIĘGNIJ PO WIĘCEJ



**Papierowe
Serca**

-  Wydawnictwo Papierowe Serca
-  wydawnictwopapieroweserca
-  papieroweserca
-  papierowe_serca